

Małgorzata Borkowska OSB: Wymiar kontemplacyjny życia konsekrowanego

Wymiar kontemplacyjny naszego życia to ryzyko życia bez widzenia, skoro sztuczne widzenie nic i tak nie jest warte, a prawdziwe Bóg da dopiero wtedy, kiedy uzna za stosowne. Kiedy będzie wiedział w swojej wiedzy i miłości, że nam to już nie zaszkodzi, nie wbije nas w pychę, nie skłoni do pogardy ani do uznania, że już więcej wysiłku nie trzeba – w Światowy Dzień Życia Konsekrowanego publikujemy fragment książki „Ryk oślicy” autorstwa siostry Małgorzaty Borkowskiej OSB.

Wymiar kontemplacyjny życia konsekrowanego streszcza się najlepiej tymi słowami Listu do Hebrajczyków: *Wytrwał, jakby widział Niewidzialnego* (Hbr 11,27). Wszyscy tu obecni nie jesteśmy już ani młodzieżą zakonną, ani tym bardziej świeckimi: które to obie grupy ludzkie mają o kontemplacji pojęcie bardzo wzniosłe, ale zupełnie nieżyciowe. Kojarzą ją z jakimś oczekiwanym z dnia na dzień, a w każdym razie przysługującym osobom konsekrowanym widzeniem, które powinno człowieka uskrzydlać, robiąc z niego wielkiego wtajemniczonego. W naszym wieku jednak wiemy już z całą pewnością, że Bóg jest Niewidzialny; i że cała godność naszej służby, cały jej sens, cała jej *radość* jest właśnie w tym, żeby Mu siebie ofiarować w mroku wiary, a nie w słońcu widzenia. Na to będzie czas w chwili śmierci.

Mamy trwać nie dlatego, że widzimy, słyszymy, odczuwamy – ale **jakbyśmy** widzieli, słyszeli etc., chociaż nie widzimy. Paradoksalnie, życie kontemplacyjne może więc zacząć się tam dopiero, gdzie się kończy żądanie widzenia. Przystajemy się kręcić wokół własnych odczuć i duchowych przyjemności, dążyć do nich, żyć dla nich – i dzięki temu mamy szansę zacząć żyć dla Boga. Życie kontemplacyjne jest czymś więcej niż sposobem modlitwy; jest raczej właśnie sposobem **życia**. Ustawieniem życia tak, żeby ono wynikało – i na modlitwie, i przy pracy, i w odpoczynku – z centralnej prawdy, na której jest oparte. Wymiar kontemplacyjny naszego życia to jest bowiem przede wszystkim świadomość – żywa, czynna i skuteczna, choćby nie skutkowałą przyspieszeniem bicia serca – że żyjemy w cudzym świecie, w świecie stworzonym przez Boga i do Niego należącym, w świecie służącym Jego celom, planom i zamiarom, nie naszym. Tę świadomość mamy okazję stosować i wzmacniać każdego dnia, od rana do wieczora, przez każdą najmniejszą nawet decyzję, ale też można, przeciwnie, tłamsić ją i zagłuszać, też przez małe nawet decyzje, od rana do wieczora. Wtedy człowiek zaczyna znowu żyć dla siebie, nie dla Niewidzialnego, i postępować tak, jakby świat po to tylko istniał, żeby on mógł się tu rozsiać i swoje własne cele osiągać, jeden po drugim. Taki człowiek, choćby i najczulszych uczuć pobożnych doświadczał w czasie wyznaczonym na modlitwę, traci wymiar kontemplacyjny życia konsekrowanego, bo sam sobie to życie niejako od-konsekrował, skoro przestał kierować jego składniki do Boga i traktować poważnie Boże życzenia.

Ale przecież mamy do czynienia z Niewidzialnym: skąd więc brać tę świadomość? Jak nawiązać, jak zachowywać ów przenośnie tak nazwany „kontakt wzrokowy” (*jakby widział*) z Nim? Przyszliśmy tam, gdzie jesteśmy, a więc musieliśmy kiedyś założyć nie tylko, że On

*Wymiar kontemplacyjny
naszego życia to jest przede
wszystkim świadomość, że
żyjemy w cudzym świecie, w
świecie stworzonym przez
Boga i do Niego należącym*

istnieje, ale także i
to, że nas wzywa; ten
kontakt w mroku
wiary musieliśmy już
nawiązać, inaczej w
ogóle by nas tu nie
było. Musiały być w
naszym życiu jakieś
wstępne chwile
radosnego

zrozumienia. Ale to jest dobre na początek. Po wejściu przez tę bramę okazuje się, że Bóg mówi: *Wystarczy ci mojej łaski, moc w słabości się doskonali* (2 Kor 12,9). A doskonali się w niej dlatego, że im bardziej i im boleśniej doświadczamy własnej słabości, tym usilniej szukamy mocy tam, gdzie ona jest naprawdę: u Boga. A więc pożyteczne jest dla nas, żebyśmy tej swojej słabości doświadczyli; *pożyteczne jest dla was moje odejście*, mówi Pan (J 16,7), pożyteczne jest dla nas to usunięcie się Chrystusa ze sfery naszych doznań i przeżyć, bo jako jego skutek otrzymujemy moc Pocieszyciela, uczącą nas wierności.

Więc wymiar kontemplacyjny naszego życia to jest ta świadomość słabości naszych sił własnych, ich absolutnej niezdolności do tego, żeby osiągnąć Boga. Nie dysponujemy żadnym niezawodnym telefonem do Niego, ani tym bardziej żadnym zaklęciem, które by Go zmusiło do podjęcia słuchawki i udzielenia natychmiast odpowiedzi. W kontakcie z Nim jesteśmy stroną bierną, odbiorczą; musimy czekać na Jego inicjatywę; i w tym odbiorze i wyczekiwaniu musimy trwać.

Dalej, jest to wynikająca z tej właśnie naszej sytuacji konieczność, żeby – skoro nie możemy wymagać od Niego natychmiastowej odpowiedzi – przynajmniej cenić i przyjmować poważnie to, co On nam już z własnej inicjatywy powiedział. O Sobie i o nas. Niby wszyscy w naszych wspólnotach uczymy się prawd wiary, czytamy mnóstwo stosownej lektury, ale skutki w praktyce wyglądają... bardzo różnie. Jeżeli katecheta wciąż uczy dzieci, jak używać dusz czyścicowych zamiast budzika – autentyczne! – i dzieci wiedzą, że to jest jej temat ulubiony, a wszystko inne to po prostu program do przerobienia – to te dzieci nie nauczą się od niej cenić objawienie Boże, bo ona sama najwyraźniej go nie ceni. Jedyne, czego się mogą nauczyć, to traktowania Boga czy ewentualnie wszelkich spraw duchowych utylitarnie, a to je skrzywi duchowo na całe życie. Jeżeli katecheta jest świetnym organizatorem wycieczek, ale teologiem żadnym, to naprawdę powinien był raczej skończyć AWF i zająć się tym, co rzeczywiście lubi robić. Jeśli kaznodzieja najchętniej mówi w kółko o „demonach”, to choćby mniemał, że w ten sposób z nimi walczy, raczej właśnie robi im reklamę i budzi w słuchaczach niezdrowe zainteresowanie nimi. Wszyscy ci idą za prywatnymi zainteresowaniami raczej niż za treścią, którą Bóg nam chciał o Sobie przekazać. ...

Wszystko jednak, albo prawie wszystko, co tu już powiedziano, dotyczy właściwie każdego chrześcijanina, a nie tylko osób konsekrowanych. W czym więc jest ta specyfika naszej sytuacji w odniesieniu do kontemplacji? Ano w tym, że myśmy się Bogu specjalnie ofiarowali, żeśmy świadomie przynieśli swoją duszę i ciało na ten właśnie ołtarz, na którym spala je ogień naszej bierności i bezradności, naszej żrącej, palącej pustki wewnętrznej. I nie można skutecznie tej pustki niczym zapełnić, ani tego ognia niczym ugasić: ani działalnością, choćby najbardziej sensowną i podziwianą, ani wyobraźnią, choćby nam

najpobożniejsze obrazy przynosiła, ani tym bardziej odchodzeniem od naszych ślubów i szukaniem tego, czegośmy się wyrzekli. Wszystko to szybko okazuje się niczym, bo nie może okazać się Czymś, skoro nie jest. Postawiono nas – za naszą własną wstępną zgodą i przy naszym własnym (początkowym przynajmniej) entuzjazmie! – tam, gdzie szybko się rozpada nieprawda, samoułuda, fikcja; tam, gdzie jest wybór tylko jeden: między rozpaczą a zaufaniem w ciemno.

I ten wybór właśnie jest istotą „wymiaru kontemplacyjnego” naszego powołania. Tego wyboru uczymy się przez całe życie, bo ma przecież wiele kolejnych stopni, i do niego musimy formować naszą młodzież. Musi być prosty i głęboki jak gregoriańskie *Credo*, a nie płytki jak gitarowa śpiewka. Płytką radość nikogo daleko nie zaprowadzi. Emocjonalny ogień nikogo na długo nie rozgrzeje. Ta **pasja** dla Ewangelii, o której mówimy na obecnym zjeździe, i którą pragniemy rozpałcić nasze wspólnoty, to musi być coś o wiele głębszego niż łyżwyruszenia przy zapalanej świeczce. Dlaczego? Wszyscy to wiemy, ale powiedzmy sobie raz jeszcze: dlatego, że uczuciowa pobożność ma tendencję do zasłaniania nam Boga samego. Bardzo łatwo z niej zrobić sobie cel i miarę życia. I wtedy człowiek, także człowiek zakonny, robi sobie skrupuły z tego, że niczego na modlitwie nie uczuł, albo że się ani razu nie rozpłakał; a tym samym utrzymuje w centrum swojej uwagi *siebie* i swoje uczucia, nad nimi pracuje, niemalże modli się do nich. A Bóg i Jego prawda stoją w kącie. Jasne, że człowiek pragnący przejść od egocentryzmu do teocentryzmu myśli, ma przed sobą mniej więcej równie łatwe zadanie, co gdyby chciał przesunąć planetę z jednej orbity na inną. Ale powinien przynajmniej tego chcieć, przynajmniej starać się odstawić na bok swoje wcześniejsze, przyziemne cele i nie podnosić lamentu, kiedy Bóg (który chce i może tego dokonać) zaczyna go z tej pierwotnej orbity zsuwać. I to, jak się wydaje, zsuwać prosto w międzyplanetarną próżnię.

*Wymiar kontemplacyjny
naszego życia to przede
wszystkim szacunek dla
prawdy Bożej, także dla
prawdy Bożej o nas samych*

Jeżeli mamy
wytrwać, to przede
wszystkim nie wolno
nam wracać do fazy
poprzedniej i w
kółko zaczynać
wszystkiego jeszcze
raz, i jeszcze raz, od

początku. Dużo szkody robią piewcy i głosiciele takiej sztucznej młodości, którzy uczą, że dopiero wtedy będzie z nami dobrze, kiedy zdołamy wytrwać przez całe życie w nowicjackiej gorliwości. A naprawdę to dopiero wtedy byłoby z nami bardzo źle, bo to by znaczyło, że nie zrobiliśmy żadnego postępu na drodze modlitwy i tylko wciąż czarujemy sami siebie (tylko siebie, bo przecież Boga czarować się nie da) naszym rzekomym młodzieńczym zapałem i naszym rzekomym widzeniem. Wymiar kontemplacyjny naszego życia to jest przede wszystkim szacunek dla prawdy Bożej, także dla prawdy Bożej o nas samych; kto tej prawdy o sobie unika, dlatego że jest bolesna i gorzka, a on przecież pragnie radować się cały czas w Panu, alleluja! – kto jej unika, może przez całe życie kręcić się wokół siebie i ani razu nie stanąć w prawdzie przed Panem. Tymczasem to tam właśnie, od tej goryczy, zaczyna się życie kontemplacyjne. Powoli zmierza ono do syntezy: naszej goryczy z Bożą słodyczą, światłem, radością – wszystko to tylko metafory, oczywiście, do wyboru. I wtedy dopiero mamy całość prawdy do kontemplowania. A przynajmniej mamy jakiś punkt widzenia do kontemplowania... Człowiek, ponieważ postrzega całą rzeczywistość przestrzenną dookoła siebie, łatwo dochodzi do wniosku, że jest jej osią biegunową, wokół której wszystko się kręci; a potem przenosi to przekonanie na całą rzeczywistość, z Bogiem włącznie. Więc póki się tego nie oduczy, doświadczalnie stwierdzając swoją

nicość, nie ma jeszcze żadnego punktu widzenia godnego tej nazwy. A ta nauka boli. Ale do słodyczy idzie się przez gorycz, nie inaczej; do światła przez mroki, do radości przez cierpienie. Inaczej się ich nie zauważy ani nie zrozumie, ani nie doceni. To wszystko metafory, ale jak inaczej niż przez ich użycie można mówić o Niewidzialnym? I o naszych z Nim kontaktach?

Wymiar kontemplacyjny naszego życia obejmuje, jak już powiedziałam, jego całość, a więc i modlitwę, i działalność. Inaczej działa człowiek, który żyje myślą w świecie Bożym, a inaczej taki, który żyje we własnym. Inne ma perspektywy, inne priorytety, inny styl działania. Inaczej urabia swoje sumienie, i to ma skutki nie tylko dla niego samego, ale i dla mnóstwa innych ludzi albo wręcz dla całego świata. Ci, którzy teraz narobili w Kościele tyle szkody przez brak powściągliwości seksualnej, czyż nie działali właśnie w świecie własnym, istniejącym po to tylko, żeby oni mogli zadowalać swoje instynkty? Ale ich przykład dowodzi także, że nasz wybór Bożej perspektywy musi być stale powtarzany, stale pogłębiany i wzmacniany; jeden początkowy wybór, choćby i entuzjastyczny, najwyraźniej nie wystarcza, skoro można potem od niego w praktyce tak drastycznie odejść.

Więc co to ma być: trwanie w ciemności wiary, życie jakby? Właśnie tak. Piękną rzeczą bywa witraż, ale tylko do podziwiania w domu, a patrzeć na świat przez niego nie można. Jeśli chcemy (to znowu metafory) z wnętrza naszej duszy wyrzeć na świat Boży, świat prawdziwy, wart kontemplowania – to musimy się wyzbyć malowanych szkiełek w oknie. Musimy się też zgodzić z tym, że na zewnątrz bywa ciemno, bo taka jest prawda: nie mamy oczu przystosowanych do widzenia w nocy. Kot i sowa mają, ma i nietoperz, a my nie; i sam tylko

Bóg ustala, jak długo nam jeszcze do wschodu słońca. Wymiar kontemplacyjny naszego życia to jest właśnie to ryzyko życia bez widzenia, skoro sztuczne widzenie nic i tak nie jest warte, a prawdziwe Bóg da dopiero wtedy, kiedy uzna za stosowne. Kiedy będzie wiedział w swojej wiedzy i miłości, że nam to już nie zaszkodzi, nie wbije nas w pychę, nie skłoni do pogardy – ani do uznania, że już więcej wysiłku nie trzeba...

I właśnie życie tak, *jakbyśmy* widzieli, chociaż nie widzimy, nie czujemy, nie doznajemy, jest drogą do przyszłej kontemplacji Niewidzialnego. Ale w tej niemocy i niewiedzy dusza, zamiast się ciskać i obijać o mury własnej ograniczoności, ma wszelkie prawo być jak ciche dziecko w Jego ramionach. Ufne i syte tego wszystkiego, czego mu akurat rzeczywiście potrzeba; bezpieczne w Jego miłości, potężne Jego potęgą, i to tym bardziej, im jest w rzeczywistości słabsze. Wymiar kontemplacyjny naszego życia to przede wszystkim ufność i nadzieja.

Małgorzata Borkowska OSB

Tekst pochodzi z książki Ryk oślicy wydanej przez Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów. Publikujemy za uprzejmą zgodą wydawcy